

Charles Dickens

Opowieść wigilijna

„Duch Marleya”

Trzeba zacząć od tego, że Marley umarł. Co do tego nie może być żadnej wątpliwości. Akt zgonu podpisali: pastor, urzędnik, właściciel zakładu pogrzebowego i główny ąałobnik. Podpisał go Scrooge, a jego nazwisko było znane na giełdzie, i każdy dokument, na którym widniał jego podpis, uważano za godny zaufania.

Stary Marley był martwy jak gwóźdź w drzwiach.

Tu drobna uwaga. Przywołując to stare angielskie przysłowie, nie chcę bynajmniej twierdzić, jakobym sam, na podstawie własnego rozeznania, uważał gwóźdź w drzwiach za coś szczególnie martwego. Osobiście skłaniam się raczej do mniemania, że najbardziej martwym artykułem spośród dostępnych na rynku towarów żelaznych jest gwóźdź w trumnie. W owym przysłowiu kryje się jednak mądrość minionych pokoleń, której ja, niegodny, nie zamierzam kwestionować. Co by się stało z naszym krajem, gdybyśmy odrzucili tradycje naszych przodków?

Pozwólcie więc, że powtórzę z naciskiem: Marley był martwy jak gwóźdź w drzwiach.

Czy Scrooge wiedział o śmierci Marleya? Ależ oczywiście! Jakżeby mógł nie wiedzieć? Byli przecież długoletnimi współnikami. Scrooge był jedynym egzekutorem testamentu Marleya, jego jedynym prawnym spadkobiercą, jedynym zarządcą jego majątku, jego jedynym przyjacielem i jedyną osobą, która szła za trumną. Ale nawet Scrooge nie był aż tak przejęty tym smutnym wydarzeniem, by jako rasowy człowiek interesu nie uczcić dnia pogrzebu niewątpliwie korzystną transakcją.

Skoro już wspomniałem o pogrzebie Marleya, powrócę do tego, od czego zacząłem. A więc trudno wątpić w to, że Marley umarł. Muszę to wyraźnie zaznaczyć, bo inaczej w tym, o czym pragnę wam powiedzieć, nie byłoby niczego zdumiewającego. Gdybyśmy nie byli całkowicie przekonani, że ojciec Hamleta zmarł przed początkiem sztuki, nie byłoby niczego nadzwyczajnego w tym, że przechadza się nocą po murach własnego zamku w powiewach wschodniego wiatru, podobnie jak trudno byłoby doszukać się czegoś szczególnie osobliwego w tym, że jakikolwiek inny jegomość w średnim wieku pojawia się po zmierzchu w jakimś równie wietrznym miejscu – na przykład na cmentarzu przy katedrze Świętego Pawła – żeby wstrząsnąć słabym i gnuśnym umysłem swojego syna.

Scrooge nie kazał zamalować na szyldzie nazwiska starego Marleya. Wciąż tam widniało, nawet po wielu latach. Firma była zawsze znana jako „Scrooge i Marley”, i tak już pozostało. Zdarzało się, że nowicjusze w świecie interesu zwracali się do Scrooge’a „Marley”, a on nie oponował. Dla niego nie miało to żadnego znaczenia. Liczyła się tylko firma, a firma nosiła nazwę „Scrooge i Marley”.

Och, ależ był bezwzględny w interesach ten stary grzesznik Scrooge! Chwytał ofiary w swoje szpony, dusił, szarpał, ścisnął – a raczej wyciskał – odzierał ze skóry! Można go przyrównać do twardego i ostrego krzemienia, z którego żadna stal nigdy nie wykrzesła szczodrobliwego ognia. Był milczący, samotny, skryty w sobie jak ostryga. Zięb wewnętrzny mroził jego starcze rysy, szczypał długi, haczykowaty nos, marszczył policzki, usztywniał krok, czerwienił oczy, sinił usta, pobrzmiwał w jego zgrzytliwym, burkliwym głosie. Mroźny szron pokrywał jego głowę, brwi i długi, ostry podbródek. A tę lodowatą temperaturę roznosił wokół siebie, zmrażając nią swój kantor w czasie kanikuły i nie podwyższając ani o jeden stopień nawet w Boże Narodzenie. Pogoda nie miała na to żadnego wpływu. Największy upał nie był w stanie go rozgrzać, największy mróz bardziej oziębził. Żaden wiatr nie kęsał tak dotkliwie jak on, żadna śnieżycyca nie była tak zawzięta, żaden deszcz tak bezlitosny. Najbardziej parszywa pogoda nie mogła się z nim równać. Ulewa, śnieżycyca, gradobicie czy zawierucha mogły się poszczycić nad nim wyższością tylko pod jednym względem: spadały na świat i ludzi całkiem bezinteresownie, z podziwu godną hojnością, natomiast Scrooge nigdy nie był ani hojny, ani bezinteresowny. Nikt nie zatrzymywał go na ulicy, by z miłym uśmiechem zagadnąć: „Jak się pan miewa, drogi panie Scrooge? Może by pan kiedy do mnie wpadł?” Żaden żebrak nie próbował wyłudzić od niego jałmużny, żadne dziecko nie zapytało go o godzinę, nikt nie pytał go o drogę. Nawet psy ślepców zdawały się go poznawać i na jego widok wciągały swoich właścicieli do sieni lub na podwórko, a potem machały ogonami, jakby chciały im rzec: „Lepiej już nie mieć oczu, niż żeby człowiekowi tak źle z oczu patrzyło!”

Myślicie, że Scrooge cierpiał z tego powodu? Bynajmniej. To właśnie lubił. Trzymać się z dala od tłumu, unikać ludzi, odstręczać ich samym swoim wyglądem, by przypadkiem nie okazali mu choćby najmniejszego przejawu sympatii – taką drogę świadomie obrał, a kroczenie nią sprawiało mu prawdziwą rozkosz. Nie wyobrażał sobie innego życia.

Pewnego razu – a było to w owym najradośniejszym dniu w roku, w wigilię Bożego Narodzenia – stary Scrooge siedział zapracowany w swoim kantorze. Na dworze było zimno, wietrznie i mglisto. Słyszał, jak na zewnątrz chodzą ludzie, posapując i pokastlując, bijąc rękami w piersi i przytupując, żeby się rozgrzać. Miejskie zegary wybiły dopiero trzecią, a było już całkiem ciemno – zresztą przez cały dzień było ponuro – i w oknach sąsiednich kantorów migotały płomienie

świec jak czerwone smugi rozmazane w lepkim, brązowym powietrzu. Mgła wdzierła się przez każdą szparę i dziurkę od klucza, a była tak gęsta, że choć zaułek należał do największych, przeciwległe domy ledwo w niej majaczyły. Patrząc na owe mętne opary, opadające coraz niżej i osnuwające wszystko posępnym mrokiem, można było pomyśleć, że Natura uwzięła się na ludzi i knuje im zgubę.

Drzwi od kancelarii Scrooge'a były otwarte, żeby pryncypał mógł mieć na oku swojego kancelistę, który siedząc w przyległej ponurej izdebce, podobnej do ciemnej studni, przepisywał listy. W kominku Scrooge'a tlił się skąpy ogień, ale w piecyku kancelisty żarzył się chyba tylko jeden węgielek. Nie mógł ognia podsycić, bo Scrooge trzymał kubek z węglem w swoim pokoju, a ile razy kancelista wchodził z szufelką, pryncypał groził mu, że będą musieli się rozstać. Biedak owinał więc szyję białym szalikiem i próbował się ogrzać płomieniem świecy – nadaremnie, bo brakowało mu niezbędnej do tego wyobraźni.

– Wesółych świąt, wuju! Niech dobry Bóg ma cię w swej opiece! – rozległ się wesóły głos. Był to głos siostrzeńca Scrooge'a, który pojawił się tak niespodziewanie, że starzec dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

– Co za bzdury! – burknął Scrooge.

Szybki marsz we mgle i chłodzie tak rozgrzał siostrzeńca, że cały aż promieniował: na jego urodziwej twarzy zakwitły rumieńce, oczy miał roziskrzone, a kiedy mówił, z ust buchała mu para.

– Boże Narodzenie to bzdury? Ależ, wuju, na pewno w głębi duszy tak nie uważasz!

– Przeciwnie, tak właśnie uważam. Wesółych świąt! A niby co cię upoważnia do tego, by się weselić? Z jakiego to powodu? Przecież jesteś biedakiem.

– No dobrze, wujaszku – odrzekł wesóło młodzieniec – a co cię upoważnia do tego, by się smucić? Z jakiego to powodu masz być ponury? Przecież jesteś bogaczem.

Scrooge, nie mając na to gotowej odpowiedzi, ograniczył się do powtórzenia:

– Co za bzdury!

– Nie złość się, wuju! – rzekł siostrzeniec.

– A niby jak mam się nie złościć, skoro przyszło mi żyć na świecie pełnym głupców takich jak ty? Wesółych świąt! Do diabła z tymi twoimi wesółymi świętami! Bo czymże jest Boże Narodzenie, jak nie terminem płacenia rachunków, na które nie masz pieniędzy? Z każdym Bożym Narodzeniem stajesz się o rok starszy, ale ani o godzinę bogatszy, robisz bilans i stwierdzasz, że przez okrągłe dwanaście miesięcy nie zarobiłeś

ani pensa. Gdyby to ode mnie zależało – wybuchnął – kaźdegodurnia, który wałęsa się po mieście i wykrzykuje „Wesołych świąt!” powinno się ugotować w jego własnym świątecznym puddingu i pogrzebać z gałązką ostrokrzewu zatkniętą w serce! Tak właśnie być powinno!

– Ależ, wuju...

– Siostrzeńcze! – przerwał mu surowo Scrooge. – Święć sobie Boże Narodzenie na swój sposób, a mnie pozwól obchodzić je po mojemu.

– Obchodzić? Przecież ty wcale świąt nie obchodzisz.

– Więc pozwól, że nie będę sobie nimi zawracał głowy. Wiele korzyści ci przyniosą! Tyle, ile do tej pory!

– Ośmielam się twierdzić, że jest wiele rzeczy, które mogą przynieść dobro, choć nie przynoszą korzyści materialnych – odrzekł młodzieniec – a święta Bożego Narodzenia na pewno do nich należą. Kiedy jednak nadchodzi czas Bożego Narodzenia, to niezależnie od zrozumiałej czci, jaką darzę te święta ze względu na ich świętą nazwę i wydarzenie, którego są pamiątką, zawsze jest to dla mnie czas upragniony, błogi czas przebaczenia i uczynków miłosierdzia, jedyny okres w całym roku, w którym ludzie, jakby na podstawie jakiejś ogólnej ugody, otwierają swoje zatrześnięte dotąd serca na potrzeby innych i myślą o swoich uboższych, upośledzonych przez pochodzenie bliźnich jak o towarzyszach wspólnej wędrówki do grobu, a nie jak o członkach jakiejś innej rasy, zdążających w innym kierunku. I dlatego, wuju, choć nigdy mi to nie przysporzyło ani skrawka złota czy srebra, wierzę, że te święta przyniosły mi już wiele dobrego i że nadal będą przynosić. O tak, to błogosławione święta!

Siedzący w swojej klitce kancelista mimo woli przyklasnął tym słowom, zaraz jednak uświadomił sobie niestosowność takiego zachowania i zaczął grzebać w piecyku, gasząc przy tym ostatnią iskierkę.

– Odezwij mi się pan choć jeszcze raz, a będziesz obchodził swoje Boże Narodzenie jako bezrobotny! – ryknął Scrooge, po czym zwrócił się do swojego siostrzeńca: – Wyborny z ciebie mówca, mój szanowny panie. Doprawdy, dziwię się, że nie zasiadasz w parlamencie.

– Nie złość się, wuju! Przyjdź do nas jutro na świąteczny obiad.

Scrooge odrzekł, że prędzej spotka się z nim w... Aż mi wstyd powtórzyć całe to złorzeczenie, a on nawet się nie zawahał, wypowiedział je do końca!

– Ale czemu mi odmawiasz?! – zawołał jego siostrzeniec. – Dlaczego?

– A czemu się ożeniłeś?

– Bo się zakochałem.

– Bo się zakochałeś! – prychnął Scrooge, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszał coś tak głupiego, oczywiście poza życzeniami wesołych świąt. – Żegnam cię, młodzieńcze!

– Ale ty, wuju, nie odwiedziłeś mnie nigdy również przed moim małżeństwem. Dlaczego więc teraz podajesz je za powód odmowy?

– Żegnam!

– Niczego od ciebie nie chcę, o nic nie proszę, dlaczego nie możemy być przyjaciółmi?

– Żegnam!

– Przykro mi z całego serca, żeś taki nieubłagany. Nigdy nie doszło między nami do żadnej sprzeczki, do której ja bym dał powód. Trudno, próbowałem, bo przecież mamy Boże Narodzenie. Nie udało się, ale zachowam dobry humor. To przecież święta! A więc wesołych świąt, wuju!

– Żegnam!

– I szczęśliwego Nowego Roku!

– Żegnam! – ryknął Scrooge.

Siostrzeniec opuścił pokój bez jednego złego słowa. Przy drzwiach zewnętrznych zatrzymał się, by życzyć wesołych świąt kanceliście, który, choć okropnie zziębnięty, miał w sobie więcej ciepła niż jego pryncypał, bo serdecznie odwzajemnił życzenia.

– Jeszcze jeden dureń – mruknął do siebie Scrooge, który to dosłyszał.

– Ma żonę i dzieci na karku, piętnaście szylingów tygodniowo na ich utrzymanie, a mówi o wesołych świątach. Doprawdy, chyba skończę w domu wariatów!